

## Podanie o źródłach Łobzonki

*„Od powietrza, głodu, ognia i wojny  
Wybaw nas, Panie!”*



e słowa starodawnego hymnu kościelnego, śpiewanego jedynie przy szczególnych okazjach, często rozbrzmiewały w świątyniach Krajny. „Powietrze”, czyli nic innego jak zaraza, która wielokrotnie przechodziła tu, dziesiątkując ludność i sprawiając, że okolice wyludniały się, a przecież nie była to zbyt gęsto zamieszкана kraina.

Od średniowiecza aż po wiek XX pojawiały się wzmianki lub relacje o straszliwych epidemiach, dziesiątkujących mieszkańców Krajny, a jeszcze niedawno pandemia koronawirusa zmusiła wszystkich do nadzwyczajnych zachowań i szczególnej ostrożności. Dawniej morowego powietrza obawiano się bardziej niż głodu, ognia i wojny, bowiem epidemii nie można było przewidzieć. Nadchodziła zniecka i atakowała wszystkich. Tak było też przed wielu wiekami, kiedy do Europy dotarła przywleczona przez Arabów epidemia dżumy.



Pewnego dnia w karczmie przy trakcie nad Notecią, wiodącym z dalekiego Rzymu nad Bałtyk, zatrzymał się pątnik. Mimo że biesiadujący tu kmiecie zapraszali go do stołu, usiadł z dala od wszystkich i w milczeniu lustrował obecnych swym przepastnym, ponurym spojrzeniem. A oczy miał czarne, głęboko osadzone, co sprawiało wrażenie jakby pustych oczodołów śmierci.

Gwar w karczmie ucichł, a serca wszystkich ścisnął jakiś niewytłumaczalny strach. Co odważniejsi zaczęli domagać się od karczmarza - Żyda, by wyrzucił owego pielgrzyma. Ten z początku się opierał, bo zwykł swych gości szanować, ale że niechęć wobec dziwnego pątnika rosła w siłę, grożąc samosądem, w końcu zażądał od niego, by sobie poszedł. Wtedy kilku krewkich młodzieńców dopadło intruza i wypchnęło go siłą na drogę. Gdy pątnik podniósł się utyłany w błocie, rzucił w ich kierunku jakieś przekleństwo w obcym języku.



Jednocześnie jego czarne oczy zapłonęły wściekłością niczym rozżarzone węgle. Ludzi w karczmie trwoga chwyciła za gardło i nikt już nie miał ochoty na dalsze biesiadowanie.

Tuż przed zmierzchem niebo pokryło się ciężkimi, burymi chmurami, z których spływała gęsta mgła, a wraz z nią morowe powietrze rozeszło się po całej Krajnie. Jeszcze tego samego dnia zachorowali wszyscy biesiadnicy karczmarza. Kilka dni później żaden z nich już nie żył.

Duszne, morowe powietrze truło przy każdym oddechu i na nic zdały się chusty na twarzach, nasycone octem. Przerażeni ludzie chowali się po swych zagrodach, ale nawet do najdalszych zakątków Krajny docierała śmierć. Byli tacy, którzy spotkali złowróźbny orszak jej towarzyszący i cudem jakimś przeżywszy, opowiadali potem, że widzieli wyrzuconego z karczmy pielgrzyma z kosturem w ręku, jak szedł obok kobiety odzianej w czarną, postrzępioną płachtę. Za nimi radośnie płaśał diabeł w przebraniu myśliwego, a na końcu wolno włókł się smutny Anioł z opuszczonymi skrzydłami i lilią w ręku.



W tym czasie w jednej z nielicznych wiosek na Krajnie żyła rodzina Gagaczków. Ojciec łowił ryby i zakładał sidła na drobną zwierzynę. Jego żona przy pomocy licznej gromadki dzieci uprawiała rzepę, len i konopie. Żyli skromnie, nie biedowali. Spędzali czas na pracy i modlitwie. Chata ich stała nieco na uboczu, ale i tutaj dotarła zaraza. Najpierw zachorowało najmłodsze dziecko - ledwo dwumiesięczna dziewczynka. Niewiasta od swej matki znała leczniczą moc wielu ziół, mimo to nie zdołała pomóc tak małemu dziecku. Ojciec, polując, coraz rzadziej dom odwiedzał, a kobieta samotnie toczyła ciężką walkę o życie i zdrowie dzieci. Niestety, przegrywała. Jedno po drugim marli jej synowie i córki, chociaż matka opiekowała się nimi i żarliwie modliła, wznosząc swe prośby do Boga.

Gdy już tylko jedno dziecko przy życiu zostało, Bóg ulitował się nad losem nieszczęsnej niewiasty i wysłał archanioła Gabriela na zwiaady. Ten, zobaczywszy ubogie osiedla, nieszczęsnych mieszkańców

i szalejącą śmierć, przysiadł za chatą Gagaczków na suchej ziemi i ucałował ją, po czym zakrył twarz skrzydłami i gorzko zapłakał. Z jego łez powstało źródło i popłynęła zeń ku Noteci rzeczka, która zbierała stojące wody i morowe powietrze. Wtedy dolina, gdzie dotąd szalała śmierć, zamieniła się w piękną, żyzną krainę. Od anielskiego pocałunku („całować” brzmi po staropolsku „łobza”) miejscowy lud nazwał rzecz-  
kę Łobżonką. Po latach na jej brzegu powstało miasto Łobżenica.